

KLUB MARTINI

TESS GERRITSEN



NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

WYBRZEŻE SZPIEGÓW

To najlepsze miejsce, żeby zniknąć.
Dopóki nie upomni się o ciebie przeszłość.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SPY COAST

Copyright © Tess Gerritsen 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

Zdjęcia na okładce: Pavel Talashov/Shutterstock (*krew na śniegu*); Freepik (*lis*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Diana

Paryż, dziesięć dni temu

Kiedyś była złotą dziewczyną. Jak bardzo wszystko się zmieniło, pomyślała, patrząc w lustro. Jej włosy, niegdyś przetykane jasnymi jak promienie słońca pasemkami, teraz miały barwę, której nie dało się określić inaczej jak „szarość zdechłej myszy”. Był to najmniej rzucający się w oczy kolor, jaki udało jej się znaleźć na półkach Monoprix. Poszła tam na zakupy po tym, jak sąsiad powiedział jej, że pytał o nią jakiś mężczyzna. Musiała to uznać za sygnał, że coś jest nie w porządku, choć pojawienie się tego człowieka mogło się okazać całkiem niewinne. Być może był to jej cichy wielbiiciel albo kurier, który próbował dostarczyć przesyłkę, wołała jednak się przygotować. Wybrała się więc do sklepu Monoprix w trzeciej dzielnicy, po drugiej stronie miasta, gdzie nikt jej nie znał, i kupiła farbę do włosów oraz okulary. Właściwie zawsze powinna mieć takie rzeczy pod ręką, ale z każdym rokiem coraz bardziej lekceważyła zagrożenie. Zrobiła się nieostrożna.

Przyjrzała się sobie i doszła do wniosku, że nowy kolor włosów to za mało. Sięgnęła po nożyczki i zaczęła rujnować fryzurę z L'Atelier Blanc, za którą zapłaciła trzysta euro. Każde ciachnięcie nożyczek było kolejnym rozcięciem na tkaninie jej starannie budowanego nowego życia. W miarę jak na płytki łazienki opadały kolejne kosmyki świeżo obciętych włosów, jej żal zamieniał się we wściekłość. Wszystko, co planowała, wszystko, co ryzykowała, waliło się w gruzy. Bez względu na to, jak sprytny jest człowiek, zawsze jest ktoś sprytniejszy. Nie wzięła pod uwagę tego, że ktoś może ją przechytryć, i to był błąd. Przez zbyt wiele lat była tą najzmyślniejszą, która wyprzedzała wszystkich o dwa kroki i potrafiła wyprowadzić każdego w pole. Tajemnica jej sukcesu polegała na tym, że nie przejmowała się za bardzo zasadami, choć innym niekoniecznie podobało się takie podejście. Owszem, czasami popełniała przez to błędy i dochodziło do niepotrzebnego rozlewu krwi. Narobiła sobie po drodze wrogów, a niektórzy ze współpracowników nią pogardzali, ale dzięki jej wysiłkom zawsze udawało się zrealizować misję. Dlatego była złotą dziewczyną.

Do teraz... Ciach.

Raz jeszcze przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, tym razem chłodnym i krytycznym okiem. W ciągu dziesięciu minut, których potrzebowała na obcięcie swoich cennych loków, przeszła przez wszystkie etapy żałoby po utraconym życiu. Zaprzeczenie, złość, przygnębienie. Teraz dotarła do etapu akceptacji i była gotowa ruszyć naprzód, zrzucić skorupę starej Diany i dać życie nowej. Już nie złotej dziewczynie,

lecz kobiecie, której doświadczenie nadało twardość hartowanej stali. Przetrwaj i to.

Zamiotła ścięte włosy i wrzuciła je do worka na śmieci, razem z pustym opakowaniem po farbie. Nie było czasu na wyczyszczenie mieszkania, co oznaczało, że zostanie w nim mnóstwo śladów jej obecności, ale nic nie mogła na to poradzić. Miała tylko nadzieję, że paryska policja jak zwykle będzie się kierować seksistowskimi uprzedzeniami i uzna, że kobieta, która tutaj mieszkała – uznana za zaginioną – została uprowadzona. Że była ofiarą, a nie sprawczynią.

Włożyła okulary i zmierzwiła świeżo przycięte włosy, nadając im pozory artystycznego nieładu. Jej wygląd nie uległ radykalnej zmianie, ale miała nadzieję, że to wystarczy, by zwieść sąsiadów, których mogła spotkać po drodze. Związała worek ze śmieciami, przeszła z nim do sypialni i wzięła torbę. Jaka szkoda, że musi tu zostawić swoje piękne buty i ubrania; powinna jednak podróżować tylko z niewielkim bagażem, a poza tym pełna szafa porzuconych cennych ciuchów uprawdopodobni wersję o uprowadzeniu. Prócz garderoby zostawiała też dzieła sztuki i antyki gromadzone przez lata, gdy jej konta bankowe pęczniały: chińskie wazy, obraz Chagalla, rzymskie popiersie sprzed dwóch tysięcy lat. Będzie jej brakowało tych przedmiotów, ale musiała się zdobyć na pewne poświęcenie, jeśli chciała ocalić życie.

Niosąc torbę podróżną i worek z włosami, przeszła z sypialni do salonu i westchnęła z żalem. Skórzaną sofę szpeciły plamy rozbryzganej krwi, które szerokim łukiem przechodziły na ścianę, na której wisiał Chagall, niczym abstrakcyjne

przedłużenie samego obrazu. Pod obrazem leżało bezwładne ciało mężczyzny, źródło krwi. To on był pierwszym napastnikiem, który wszedł do jej mieszkania, więc z nim rozprawiła się najpierw. Wyglądał jak typowy macho, który dzięki długim godzinom spędzonym na siłowni dorobił się potężnych bicepsów, ale nigdy nie pracował nad umysłem. Nie mógł wiedzieć, że tak skończy się dla niego ten dzień, i umarł z wyrazem zdumienia na twarzy. Nigdy pewnie nie przypuszczał, że zginie z ręki kobiety.

Ktoś prawdopodobnie nie poinformował go dokładnie, z kim będzie miał do czynienia.

Usłyszała za sobą przytłumiony oddech i odwróciła się, by spojrzeć na drugiego mężczyznę. Leżał na skraju drogiego perskiego dywanu i jego krew wsiąkała w misterny wzór z winorośli i tulipanów. Ku jej zdumieniu niedoszły zabójca wciąż żył.

Podeszła do niego i trąciła czubkiem buta jego ramię.

Powieki mężczyzny zadrżały i uniosły się powoli. Spojrzał na nią i próbował sięgnąć po broń, lecz Diana już wcześniej odtrąciła ją kopniakiem w bok, poruszał więc bezradnie dłonią, co przypominało rybę trzepoczącą się w sieci, dogorywającą we własnej krwi.

– *Qui t'a envoyé?* – spytała.

Dłoń mężczyzny zaczęła się poruszać jeszcze gwałtowniej. Kula, która trafiła go w szyję, musiała uszkodzić kręgosłup, bo nie był w stanie nawet podnieść ręki, szarpał nią jedynie konwulsyjnie. Może nie znał francuskiego. Powtórzyła więc po rosyjsku:

– *Kto ciebia poslal?*

Nie dostrzegła choćby przebłysku zrozumienia w jego oczach. Albo jego mózg przestał już funkcjonować, albo nie znał również rosyjskiego, co było dość niepokojące. Wiedziała, jak poradzić sobie z Rosjanami, ale jeśli tych ludzi nasłał ktoś inny, sprawa się komplikowała.

– Kto próbuje mnie zabić? – spytała po angielsku. – Powiedz mi, a daruję ci życie.

Jego ręka przestała trzepotać. Znieruchomiał i spojrzał prosto na Dianę. Zrozumiał pytanie. Rozumiał również, że nie ma znaczenia, czy powie jej prawdę, czy nie; i tak już nie żył.

Usłyszała męskie głosy dobiegające z korytarza. Czy przysłali innych jako wsparcie? Zbyt długo zwlekła i zabrakło jej czasu, by przesłuchać tego. Wycelowała w jego głowę lufę wyposażoną w tłumik i wystrzeliła dwa pociski.

– Dobranoc – szepnęła.

Potrzebowała zaledwie dwóch sekund, by wyjść przez okno na schody pożarowe. Rzuciła ostatnie spojrzenie na mieszkanie, by zachować w pamięci słodko-gorzki widok. To miejsce dało jej namiastkę szczęścia; korzystała tu z owoców ciężkiej pracy. Teraz mieszkanie wyglądało jak rzeźnia, zbrzyzgane krwią dwóch ludzi, których nie znała.

Zeszła po schodach i znalazła się w alejce przy budynku. O jedenastej wieczorem ulice Paryża wciąż tętniły życiem, bez trudu wmieszała się więc w tłum przechodniów na głównej ulicy. Usłyszała w oddali wycie syren, ale nie przyspieszyła kroku. Nie mogło chodzić o nią; minęło za mało czasu,

żeby policja zdążyła zareagować.

Pięć przecniec dalej wrzuciła worek z włosami do restauracyjnego śmietnika i szła dalej, z torbą przewieszoną przez ramię. Miała w niej wszystko, czego potrzebowała w tej chwili, a nie brakowało jej środków. Na początek miała aż nadto.

Najpierw jednak musiała się dowiedzieć, kto chce jej śmierci. Wcześniej zakładała, że zabójców przysłali Rosjanie, ale teraz nie miała już pewności. Kiedy wkurzysz wiele organizacji, masz wielu wrogów, którzy stosują zabójcze metody. Tylko jak odkryli jej nazwisko? I dlaczego po szesnastu latach chcieli jej się dobrać do skóry?

Skoro znali jej nazwisko, to musieli wiedzieć również o pozostałych. Wyglądało na to, że przeszłość w końcu ich dopadła.

Tak właśnie skończyły się mrzonki o spokojnej emeryturze. Czas wracać do pracy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maggie

Purity, stan Maine, teraz

Coś tu umarło.

Stoję na swoim polu i pochylona wpatruję się w krwawe ślady odcisnięte w śniegu. Zabójca ciągnął ofiarę i choć z nieba wciąż opadają w ciszy grube płatki, nie zdążyły jeszcze pokryć tropów sprawy ani wyłobień pozostawionych przez ciało ciągnięte w stronę lasu. Widzę smugi krwi, rozsypane dokoła pióra i kępki czarnego puchu drżące na wietrze. Tyle zostało z jednej z moich ulubionych kur rasy araukana, która z podziwu godną regularnością składała ładne niebieskie jajka. Choć śmierć jest tylko jednym z wielu punktów w większym kręgu życia i choć widziałam ją już wielokrotnie, ta strata dotyka mnie szczególnie, wzdycham więc ciężko, wypuszczając w powietrze wirujący obłoczek pary.

Zerkam przez siatkę na to, co zostało z mojego stada liczącego teraz trzydzieści sześć sztuk; to dwie trzecie z pięćdziesięciu, które zaczęłam hodować wiosną. Minęły zaledwie dwie godziny, odkąd otworzyłam kurnik i wypuściłam je na

zewnątrz, i w tym czasie drapieźnik zdążył je dopaść. Mam teraz tylko jednego – ostatniego – koguta, który przetrwał wiele ataków orłów i grabieże szopów pracy. Przechadza się dumnie po zagrodzie, popisując się nietkniętym ogonem i nie okazując najmniejszego zaniepokojenia tym, że jego harem znów się pomniejszył. Co za bezużyteczny fiut!

Jak wielu z nich.

Kiedy się prostuję, dostrzegam kątem oka jakiś ruch i spoglądam w stronę lasu widocznego za siatką. Rosną tam głównie dęby i klony, a pośród nich nieliczne nędzne świerki, które walczą o blask słońca z potężnymi sąsiadami. W zaroślach, niemal całkowicie niewidoczna, kryje się para ślepiów przyglądających mi się czujnie. Przez moment patrzymy na siebie bez ruchu, dwoje wrogów rozdzielonych zaśniewanym polem bitwy.

Powoli odsuwam się od przewoźnego kurnika. Nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów, nie wydaję żadnych dźwięków.

Nieprzyjaciel obserwuje mnie przez cały czas.

Zamarznięta trawa chrzęści pod moimi nogami, gdy zmierzam powoli do terenowej minicężarówki Kubota RTV. Otwieram cicho drzwi i sięgam po strzelbę wciśniętą za siedzenia. Zawsze jest naładowana, żebym nie musiała tracić czasu na wyjmowanie amunicji i wsuwanie pocisków. Obracam broń lufą w stronę drzew i starannie celuję.

Huk wystrzału wydaje się głośniejszy od grzmotu. Wystraszone wrony zrywają się z drzew, wzlatają gwałtownie ku niebu, a kury gdaczą przeraźliwie i biegną w panice do

kurnika. Opuszczam broń i mrużąc oczy, wpatruję się w za-
rośla.

Nic się tam nie porusza.

Podjeżdżam kubotą przez pole na skraj lasu i wysiadam. W poszyciu dominują krzaki jeżyn, a warstwę martwych liści i chrustu skrywa śnieg. Każdemu mojemu krokowi towarzyszy trzask łamanych gałęzi. Nie dostrzegłam jeszcze śladów krwi, ale jestem pewna, że je zobaczę, bo zawsze wiesz – czujesz to jakoś w kościach – kiedy twoja kula trafi w cel. W końcu widzę dowód, że nie chybiłam: liście skropione krwią. Leży tu porzucone przez zabójcę okaleczone truchło mojej kury.

Brnę dalej, odpychając na boki gałęzie, które łapią mnie za spodnie i sięgają do moich oczu. Wiem, że jest tu gdzieś niedaleko, jeśli jeszcze nie martwy, to ciężko ranny. Zdołał uciec dalej, niż przypuszczałam, ale prę naprzód, wypuszczając z ust obłoczki pary. Kiedyś potrafiłam biec przez ten las sprintem, nawet z ciężkim plecakiem na ramionach, nie jestem już jednak tą samą kobietą co kiedyś. Nadmierna eksploatacja i upływ czasu pozbawiły moje stawy dawnej elastyczności, a nieudane lądowanie po skoku ze spadochronem skończyło się skomplikowaną operacją i metalowym sztyftem w kostce, która boli mnie teraz zawsze, gdy spada temperatura lub ciśnienie. Jak teraz. Starzenie się to okrutny proces. Usztywnił mi kolana, pokrył niegdyś kruczoczarne włosy siwizną, pogłębił zmarszczki na twarzy. Wciąż mam jednak bystry wzrok i nie zatraciłam umiejętności odczytywania i interpretacji tropów. Kucam przy odcisniętym w

śniegu śladzie łapy i dostrzegam plamkę krwi na liściach.

Zwierzę cierpi. Z mojej winy.

Podnoszę się na równe nogi. Kolana i biodra protestują, choć kiedyś potrafiłam bez problemu wyskoczyć z samochodu sportowego i natychmiast poderwać się do sprintu. Przedzieram się przez krzewy jeżyn, wchodzę na polanę i w końcu widzę moją nemezis, leżącą nieruchomo w śniegu. Samica. Wygląda na zdrową i dobrze odżywioną, ma lśniąca rude futro. Jej pysk jest otwarty, widać wyraźnie ostre jak brzytwa zęby i szczęki na tyle silne, by jednym kłapinięciem złamać kark kurczaka. Kula trafiła ją prosto w pierś, jestem więc zdumiona, że zwierzę zaszło tak daleko, nim padło. Trącam je butem, by się upewnić, że jest martwe. Mimo że udało mi się rozwiązać ten problem, nie czuję wcale satysfakcji z uśmiercenia lisicy. Wzdycham głęboko, z żalem, a nie zadowoleniem.

W ciągu sześćdziesięcioletniego życia napatrzyłam się już wystarczająco na śmierć.

Futro jest zbyt cenne, by porzucić je w lesie, więc chwytam lisicę za ogon. Dzięki moim kurczakom nie brakowało jej pożywienia; jest teraz tak ciężka, że muszę ją ciągnąć za sobą, pozostawiając w śniegu i liściach krwawą koleinę. Podnoszę martwe zwierzę i wrzucam na pakę pojazdu. Łąduje na niej ze smutnym głuchym odgłosem. Choć skóra do niczego mi się nie przyda, znam kogoś, kto z radością ją przygarnie. Wsiadam do kuboty i jadę przez pole, do chaty sąsiada.

Luther Yount lubi przypaloną kawę; czuję ją na jego podjeździe, gdy wysiadam z kuboty. Widzę stąd mój dom stojący po drugiej stronie pokrytego śniegiem pola, na pagórku za rzędem klonów cukrowych. Nie jest zbyt wielki, ale solidny, wzniesiony w 1830 roku, jak twierdziła agentka nieruchomości. Wiem, że mówiła prawdę, bo dotarłam do oryginalnego aktu własności farmy Blackberry. Wierzę tylko w to, co sama mogę potwierdzić. Z mojego domu rozciąga się niczym nieprzesłonięty widok na wszystkie strony, więc jeśli ktoś się zbliża, widzę go już z daleka, zwłaszcza w pogodny zimowy poranek, gdy krajobraz jest surowy i biały.

Słyszę muczenie krów i gdakanie kur. Od chaty Luthera do stajni prowadzą ślady pozostawione w śniegu przez buty w niewielkim rozmiarze. Zostawiła je jego czternastoletnia wnuczka, Callie, która codziennie rano dogląda swoich zwierząt.

Wchodzę ciężkim krokiem na werandę i pukam do drzwi. Luther otwiera, a ja wciągam smród kawy, która zbyt długo stała na kuchence. Gospodarz wypełnia całe wejście, siwobrody Święty Mikołaj w czerwonej kraciatej koszuli i spodniach z szelkami. Oddycha chrapliwie, czemu trudno się dziwić, skoro jego chatę zawsze wypełniają tumany kurzu, a czasami również dym z pieca.

- Dzień dobry, Maggie – wita mnie.
- Dzień dobry. Przywiozłam prezent dla ciebie i Callie.
- Z jakiej okazji?
- Bez okazji. Pomyślałam po prostu, że będziesz wiedział, co z tym zrobić. Jest na kubocie.

Nie fatyguje się zakładaniem kurtki, wychodzi na zewnątrz w wełnianej koszuli, dżinsach i zimowych butach. Idzie za mną do samochodu, kiwa głową z podziwem na widok martwej lisicy, a potem gładzi jej futro.

– Ślicznotka. Więc to był ten strzał, który słyszałem rano. Zdjęłaś ją jedną kulą?

– Tak. Ale zdołała jeszcze przebiec z pięćdziesiąt metrów w głąb lasu.

– To pewnie ta sama, która zabrała dwie kury Callie. Dobra robota.

– Mimo wszystko trochę mi jej szkoda. Chciała tylko przeżyć.

– Jak my wszyscy.

– Pomyślałam, że przyda wam się to futro.

– Na pewno nie chcesz go zatrzymać? Jest ładne.

– Będziesz wiedział, co z nim zrobić.

Sięga do paki i podnosi truchło. Musi włożyć w to trochę wysiłku, więc rzeźi jeszcze głośniej.

– Wejdz, proszę – zaprasza mnie, tuląc martwe zwierzę niczym dziecko. – Właśnie zaparzyłem kawę.

– Hm... dziękuję, ale nie.

– Więc przynajmniej weź trochę świeżego mleka.

Z tego akurat chętnie skorzystam. Mleka od karmionej świeżą trawą i sianem krowy rasy jersey nie da się porównać z niczym, co piłam przed przeprowadzką do Maine; jest tak gęste i słodkie, że warto ryzykować i pić je bez przygotowania. Wchodzimy do chaty i Luther rzuca martwą lisicę na ławkę. W kiepsko ocieplonym pomieszczeniu jest niemal

równie zimno jak na zewnątrz, i to pomimo ognia płonącego w piecu. Nie zdejmuję kurtki, choć gospodarz czuje się chyba całkiem komfortowo tylko w koszuli i dżinsach. Nie chcę kawy, ale i tak stawia na stole w kuchni dwa kubki. Niegrzecznie byłoby odmówić.

Siadam.

Luther podsuwa mi dzbanuszek ze śmietanką. Wie, że nie lubię czarnej kawy – tak naprawdę tylko tej, którą on parzy – i że nie jestem w stanie oprzeć się śmietance od krowy Callie. W ciągu dwóch minionych lat, odkąd wprowadziłam się na sąsiednią posesję, miał okazję wiele się o mnie dowiedzieć. Wie zatem również, że co wieczór gaszę światła około dziesiątej i że wstaję wcześniej, by nakarmić i napoić kury. Wie, że nie umiem jeszcze zbyt dobrze nacinać klonów, że jestem raczej samotniczką i że nie urządzam głośnych imprez. Dziś dowiedział się, że celnie strzelam. Wciąż jednak nie wie o mnie wielu rzeczy. O których nigdy mu nie powiem. Cieszę się, że nie należy do ludzi zadających zbyt wiele pytań. Cenię dyskretnych sąsiadów.

Ja natomiast wiem bardzo dużo o Lutherze Yuncie. Niektórych rzeczy można się domyślić o człowieku, rozglądając się jedynie po jego domu. Widać, że sam zrobił półki na książki, podobnie jak grubo ciosany stół w kuchni, gdzie z belki pod sufitem zwisają pęczki suszonego tymianku i oregano z ogrodu. Ma mnóstwo książek dotyczących zadziwiająco szerokiego spektrum tematów, od fizyki cząstek elementarnych po hodowlę zwierząt. Na niektórych podręcznikach widnieje jego nazwisko, ślad po wcześniejszym wcieleniu Luthera

Younta, gdy był wykładowcą inżynierii mechanicznej na jednym z wydziałów Massachusetts Institute of Technology. Potem opuścił uczelnię, Boston i być może kilka demonów, by odrodzić się jako rozmamłany, ale szczęśliwy farmer. Wiem to wszystko nie dlatego, że sam mi powiedział; sprawdziłam go dokładnie, podobnie jak wszystkich pozostałych sąsiadów, nim kupiłam farmę Blackberry.

Luther przeszedł pomyślnie tę kontrolę. Dlatego czuję się całkowicie swobodnie, gdy siedzę przy jego stole i pijam kawę.

Na werandzie słyhać ciężkie kroki, a po chwili otwierają się drzwi i do chaty wpada podmuch zimnego powietrza oraz czternastoletnia Callie. Luther uczy ją sam, dzięki czemu dziewczynka jest czarującą dzikuską, pod wieloma względami mądrzejszą, ale też naiwniejszą od rówieśniczek. Podobnie jak jej dziadek nie przejmuje się zbytnio wyglądem: na jej roboczej kurtce widać smugi brudu, a w brązowych włosach tkwią zabłąkane kurze pióra. Wnosi dwa kosze świeżo zebranych jajek i stawia je na blacie w kuchni. Jej twarz jest zarumieniona od zimna, wygląda tak, jakby ktoś ją spoliczkował.

– Cześć, Maggie! – woła, wieszając kurtkę.

– Patrz, co nam przyniosła – zwraca się do niej Luther.

Dziewczynka spogląda na martwą lisicę leżącą na ławie i przesuwa dłońią po jej futrze. Robi to bez wahania, bez śladu odrazy. Mieszka z Lutherem przez większość życia, odkąd jej matka przedawkowała heroinę i zmarła w Bostonie, nauczyła się więc obcować ze śmiercią.

– O, jeszcze ciepła – mówi.

– Od razu ją tutaj przywiozłam – odpowiadam. – Pomyślałam, że ty i twój dziadek zrobicie z tym coś pożytecznego.

Uśmiecha się do mnie, rozpromieniona.

– Futro jest piękne. Dziękuję! Myślicie, że wystarczy na czapkę?

– Tak mi się wydaje. – Luther kiwa głową.

– Wiesz, jak to zrobić, dziadku?

– Sprawdzę i jakoś do tego dojdę. Nie możemy pozwolić, żeby zmarnowało się coś tak ładnego, prawda?

– Chciałabym zobaczyć, jak to robisz – wtrącam.

– Chcesz też zobaczyć, jak obdzieram to zwierzę ze skóry?

– Nie. To akurat potrafię robić.

– Naprawdę? – Śmieje się. – Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Maggie.

Callie wkłada jajka do zlewu. Odkręca kran i zaczyna je czyścić szmatką pod strumieniem bieżącej wody, by wyglądały na nieskazitelnie czyste, gdy włoży je do kartonów. W miejscowej spółdzielni sprzedaje je po siedem dolarów za tuzin. To wcale nie jest dużo jak na jajka z wolnego wybiegu, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę pracę, jaką trzeba włożyć w hodowlę, koszt karmy i nieustającą walkę z rysiami, lisami i szopami. Tych dwoje nie utrzymuje się wyłącznie ze sprzedaży jajek; Luther ma zainwestowane spore pieniądze w akcje. To kolejna informacja na jego temat, do której zdołałam się dokopać. Kury należą do Callie; to ona zarabia na jajkach i trzeba przyznać, że jest już całkiem sprawną biznesmenką. Nigdy dotąd nie znałam czternastolatki, która

potrafiłaby równie sprawnie zabić i wypatroszyć starą nioskę.

– Szkoda, że musiałaś zabić tę lisicę, ale ja też straciłam już dużo kur – mówi.

– Na jej miejsce pojawi się zaraz jakiś inny drapieżnik – wtrąca jej dziadek. – Tak to już jest na tym świecie.

Callie spogląda na mnie.

– A ile ty straciłaś?

– Sześć tylko w tym tygodniu. Ta lisica zabrała dziś rano jedną araukanę.

– Może ja też powinnam kupić parę araukan. Klientom podobają się niebieskie jajka. Pewnie dostałabym za nie trochę więcej.

– Niebieskie jaja, brązowe jaja – prychna lekceważąco Luther. – Wszystkie smakują tak samo.

– Chyba powinnam już iść – mówię i wstaję od stołu.

– Tak szybko? – dziwi się Callie. – Dopiero co przyszałaś.

To jedna z bardzo nielicznych czternastolatek, które chętnie rozmawiają z kobietą w moim wieku, ale ona jest niezwykłą dziewczyną. Czuje się tak swobodnie w towarzystwie dorosłych, że czasami zapominam, jak bardzo jest młoda.

– Wróć, kiedy twój dziadek zabierze się do szycia czapki dla ciebie.

– Zrobię na kolację kurczaka i pierogi.

– W takim razie na pewno wróćę – obiecuję.

Luther dopija kawę i również wstaje.

– Poczekaj chwilę, dam ci to mleko. – Otwiera lodówkę, czemu towarzyszy melodyjne pobrzękiwanie szklanych butelek ustawionych na półkach. – Gdyby nie te cholerne

przepisy, moglibyśmy sprzedawać mleko z własnego straganu. Siedzielibyśmy tylko i zbierali pieniądze.

Pieniądze, których wcale nie potrzebuje. Niektórzy lubią obnosić się z bogactwem, ale Luther wydaje się nim raczej zakłopotany. A może po prostu nie chce prowokować losu i ukrywa to, co ktoś być może chciałby mu zabrać. Wyjmuje cztery butelki, wypełnione mlekiem z grubą warstwą śmietany na wierzchu, i wkłada je do papierowej torby.

– Kiedy ktoś znowu do ciebie wpadnie, Maggie, poczęstuj go tym. A potem przyślij go od razu tutaj, żeby kupił więcej. Oczywiście to by była prywatna sprzedaż. Nie będziemy w to wciągać stanu Maine.

Biorę od niego mleko i jestem już przy drzwiach, gdy dociera do mnie to, co właśnie powiedział. Odwracam się do niego.

– Jak to „ktoś znowu” do mnie wpadnie? – pytam.

– A nikt cię wczoraj nie odwiedził?

– Nie.

– Hm... – Luther spogląda na wnuczkę. – Może coś źle usłyszałaś?

– Co usłyszała źle? – rzucam.

– Wczoraj na poczcie była jakaś pani – tłumaczy Callie.

– Pytała o drogę do farmy Blackberry. Mówiła, że jest twoją przyjaciółką.

– Jak wyglądała? Była młoda, stara? Jakiego koloru miała włosy?

Callie jest zaskoczona tym gradem pytań.

– Była chyba dość młoda. I bardzo ładna. Nie widziałam

jej włosów, bo miała czapkę. I ładną puchową kurtkę. Niebieską.

– Nie powiedziałaś jej, jak do mnie trafić, prawda?

– Nie, ale powiedział jej Greg z poczty. Coś się stało?

Tego nie wiem. Stoję przy otwartych drzwiach, owiewana chłodnym powietrzem, i trzymam w ręce torbę z butelkami mleka.

– Nikogo nie oczekiwałam. Po prostu nie lubię niespodzianek – odpowiadam i wychodzę z chaty.

Coś się stało? – zastanawiam się.

To pytanie wciąż mnie dręczy, gdy jakiś czas później wjeżdżam do miasta, by odebrać zakupy. Kto pytał o drogę do mojej farmy? Być może nic się za tym nie kryje, może ktoś szuka poprzedniej właścicielki, nie wiedząc, że zmarła trzy lata temu, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Podobno była legendarną postacią, głównie za sprawą nieprzeciętnego intelektu i nieprzyjemnego usposobienia. Kobieta w moim typie. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego ktoś mógłby pytać o farmę Blackberry. Nie robił tego nikt, odkąd dwa lata temu sprowadziłam się do Purity.

I chcę, żeby tak zostało.

W mieście zaliczam tę samą trasę co zwykle: sklep z paszą, poczta, spożywczy. W tych miejscach bez trudu wtapiam się w tło złożone z innych siwowłosych kobiet, otulonych zimowymi kurtkami i szalikami. Podobnie jak one rzadko przyciągam spojrzenia. Podeszły wiek daje anonimowość, najskuteczniejsze przebranie.

W spożywcym przechadzam się niezauważona po wą-

skich sklepowych alejkach, pchając przed sobą wózek. Wkładam do niego płatki owsiane, mąkę, ziemniaki i cebulę. Przynajmniej jajek nigdy nie muszę kupować. Dział z alkoholem w tym małym miasteczku jest żaloszny, ale mają tu dwa rodzaje szkockiej single malt i choć nie przepadam za żadną z nich, kupuję butelkę. Staram się nie naruszać zapasu trzydziestoletniej longmorn, bo nie wiem, kiedy będę miała szansę go uzupełnić. Jakakolwiek whisky jest lepsza niż żadna.

Kiedy stoję w kolejce, by zapłacić za zakupy, można mnie wziąć za jedną z tutejszych rolniczek, gospodynię domową albo emerytowaną nauczycielkę. Przez lata uczyłam się nie wyróżniać z tłumu, nie przyciągać uwagi, więc teraz przychodzi mi to bez trudu, co jednocześnie cieszy mnie i smuci. Czasami tęsknię do czasów, gdy mnie zauważano, kiedy nosiłam krótkie spódniczki i szpilki i czułam na sobie męskie spojrzenia.

Kasjerka wbija na kasę ceny i robi wielkie oczy, gdy pojawia się suma.

– To będzie... oj... dwieście dziesięć dolarów.

Podnosi na mnie wzrok, jakby oczekiwała, że będę protestować, ale wcale nie zamierzam tego robić. Wiem, że to whisky jest taka droga. No cóż...

Płacę i wynoszę torby z zakupami na zewnątrz. Ładuję je właśnie do mojego pick-upa, gdy dostrzegam kątem oka Bena Diamonda, ubranego jak zwykle w czarną skórzaną kurtkę. Wchodzi do Marigold, kawiarni po drugiej stronie ulicy. Jeśli ktokolwiek trzyma w tym mieście rękę na pulsie, to on. Być może wie, kto o mnie pytał.

Przecinam ulicę i wchodzę za nim do Marigold.

Siedzi w boksie w towarzystwie Declana Rose'a. Jak zwykle obaj są zwrócenii twarzami do wejścia; nie potrafią się pozbyć tego nawyku nawet teraz, na emeryturze. Declan wygląda w tweedowej marynarce jak nauczyciel historii, którym zresztą kiedyś był. Choć ma sześćdziesiąt osiem lat, jego lwia grzywa przetykana pasmami siwizny jest równie gęsta jak wtedy, gdy go poznałam, niemal czterdzieści lat temu. W odróżnieniu od dobrodusznego na pozór Declana, Ben Diamond wygląda dość groźnie, pewnie przez ogoloną głowę i czarną skórzaną kurtkę. Trzeba mieć wrodzone zdolności przywódcze, by prezentować się tak w wieku siedemdziesięciu trzech lat, a właśnie tyle ma. Kiedy do nich podchodzę, obaj podnoszą wzrok.

– Ach, Maggie! – wita mnie Declan. – Dosiądź się do nas.

– Dawno cię nie widziałem. Co porabiałaś? – pyta Ben.

Wsuwam się do boksu.

– Musiałam rozwiązać problem z lisem.

– Rozumiem, że lis już opuścił ten świat.

– Dziś rano. – Podnoszę wzrok na przechodzącą obok kelnerkę. – Kawę poproszę, Janine.

– Przynieść menu?

– Nie dziś, dziękuję.

Ben przygląda mi się uważnie. Potrafi wiele wyczytać z twarzy – to jeden z jego talentów – prawdopodobnie wyczuwa więc, że przyszedłam tu nie bez powodu. Czekam, aż Janine przejdzie dalej, po czym zadaję pytanie:

- Kto mnie szuka?
- Ktoś cię szuka?
- Była tu wczoraj jakaś kobieta i podobno pytała na poczcie o drogę do farmy Blackberry.

Spoglądają po sobie, a potem patrzą na mnie.

- Nie słyszałem o tym – mówi Ben.

Janine przynosi mi kawę, lurowatą, ale przynajmniej nie przypaloną, jak u Luthera. Czekamy, aż kelnerka odejdzie, i dopiero wtedy wracamy do rozmowy. To po prostu siła przyzwyczajenia. Declan i Ben zawsze wybierają ten boks, bo czują się tutaj jak na odizolowanej bezpiecznej placówce, z dala od ciekawskich uszu.

- Martwi cię to? – pyta Declan.
- Nie wiem, czy powinno – odpowiadam.
- Pytała konkretnie o ciebie? Czy tylko o farmę?
- Tylko o farmę. Może nie powinnam się tym przejmować. Bo niby skąd mogła wiedzieć, że tam mieszkam?
- Mogą się dowiedzieć wszystkiego, jeśli naprawdę im na tym zależy.

Milkniemy, gdy dwaj klienci wstają od stołów i przechodzą obok nas, idąc do kasy. Dzięki temu mam okazję zastanowić się nad słowami Declana: „jeśli naprawdę im na tym zależy”. Od lat liczę na to, że nie warto zadawać sobie trudu, by śledzić moje poczynania. Zawsze mają jakieś ważniejsze sprawy na głowie, a ja jestem tylko płotką. No może trochę większą płotką. Po co szukać kobiety, które nie chce, by ją znaleziono? Odkąd szesnaście lat temu odeszłam z Agencji, stopniowo stawałam się mniej czujna. Właściwie

tak przywykłam do roli prowincjonalnej hodowczyni kur, że naprawdę zaczęłam się za nią uważać. Ben jest teraz tylko emerytowanym sprzedawcą sprzętu hotelowego, a Declan emerytowanym nauczycielem historii. Znamy prawdę, ale nie zdradzamy nawzajem swoich tajemnic, bo musimy strzec własnych.

Ta wzajemna zależność daje nam poczucie bezpieczeństwa.

– Będziemy mieli oczy i uszy otwarte – obiecuje Ben. – Dowiemy się, kim jest ta kobieta.

– Byłabym wdzięczna. – Kładę na stole dwa dolary za kawę.

– Przyjdiesz dziś na literacką grupę dyskusyjną? Ostatnio byłaś dwa miesiące temu. Brakuje nam ciebie.

– O jakiej książce rozmawiacie?

– O *Osobliwościach miast i dziwach podróży* Ibn Battuty. Ingrid ją wybrała – mówi Ben.

– Już to czytałam.

– Więc możesz nam ją streścić – proponuje Declan. – Bo Ben i ja nie odrobiliśmy pracy domowej. Spotykamy się dziś wieczorem w domu Ingrid i Lloyda. O szóstej, pijemy martini. Po kilku kieliszkach może uda nam się odpuścić dyskusję o książce i przejść od razu do miejscowych plotek. Możemy na ciebie liczyć?

– Zastanowię się.

– Czyli odmawiasz – kwituje groźnie Ben.

Próbuje mnie nastraszyć. Zawsze zastanawiałam się, na ile sprawdzały się jego gangsterskie metody, gdy pracował w

terenie. Na mnie z pewnością nigdy to nie działało.

– No dobrze, będę – mówię.

– A ja dopilnuję, żeby nie zabrakło lodu do twojej ulubionej wódki – zapewnia mnie Declan.

– Belvedere.

– Maggie, doprawdy... – Parska śmiechem. – Myślisz, że mógłbym o tym zapomnieć?

Oczywiście, że pamięta, jaka jest moja ulubiona wódka. Pod jego gęstymi włosami kryje się bystry umysł, obdarzony niezwykle pamięcią i talentem do języków, dzięki czemu opanował ich aż siedem. Ja poddałam się po trzech.

Wracam do samochodu i jadę do domu wyboistymi bocznymi drogami, przez czarno-biały krajobraz, na który składają się głównie nagie drzewa i pokryte śniegiem pola. Nie przypuszczałam, że w takim otoczeniu będę spędzać jesień życia. Dorastałam w miejscu, gdzie królowały pył, upał i oślepiąco jasne lata, tak że pierwsza zima w Maine była dla mnie wyzwaniem. Nauczyłam się, jak rąbać grube pniaki, jak jeździć po lodzie i rozmrażać zamrożone rury. Przekonałam się w ten sposób, że człowiek nigdy nie jest za stary, by przystosować się do nowego otoczenia. Kiedy byłam młoda i wyobrażałam sobie idealne miejsce na emeryturę, marzyłam o willi na szczycie wzgórza na Ko Samui albo o domku wśród drzew na półwyspie Osa, gdzie wsłuchiwałabym się w śpiew ptaków i głosy wyjców. Takie miejsca znałam i uwielbiałam, ale nie mogłabym się w nich ukryć.

Bo tam właśnie spodziewaliby się mnie zastać. Bycie przewidywalnym jest podstawowym błędem.

Dzwoni telefon.

Spoglądam na ekran i gwałtownie hamuję. Zjeżdżam na pobocze i wpatruję się w obrazy na wyświetlaczu. To nagranie z systemu alarmowego w moim domu. Ktoś właśnie tam wszedł.

Mogłabym wezwać na pomoc miejscowych policjantów, ale z pewnością zadawaliby pytania, na które pewnie nie chciałabym odpowiadać. W komendzie w Purity pracuje tylko sześciu pełnoetatowych funkcjonariuszy i jak dotąd nie miałam powodów, żeby się z nimi kontaktować. Chcę, by tak zostało, nawet jeśli oznacza to, że będę musiała radzić sobie sama.

Wjeżdżam na drogę i jadę dalej.

Zanim docieram do rzędu klonów i parkuję przed domem, tętno przyspiesza mi do galopu. Przez chwilę siedzę w samochodzie i przyglądam się werandzie. Wszystko wygląda całkiem normalnie. Drzwi frontowe są zamknięte, a łopata do śniegu jest tam, gdzie ją zostawiłam, oparta o stertę drewna na opał. Włamywacz nie chce, bym wpadła na to, że coś mi grozi.

Utrzymam go więc w przekonaniu, że nie wiem o jego obecności.

Wysiadam z samochodu, zanoszę ziemniaki i paszę dla kur na werandę i rzucam worki tak, że głośno lądują na deskach. Kiedy wyciągam klucze, wszystkie moje zmysły są niezwykle wyostrome. Każde doznanie jest zwielokrotnione: szelest nagich gałęzi drzew, pocałunek zimnego wiatru na policzku.

Zauważam, że cienka nić na ościeżnicy została zerwana.

Wydaje się, że w epoce wyrafinowanej elektroniki to bardzo prymitywne zabezpieczenie, ale systemy cyfrowe mogą zawieść i można je zhakować. Kilka miesięcy temu przestałam być tak ostrożna: coraz częściej nie chciało mi się mocować włókna, cienkiego jak pajęczna nić, ale po rozmowie z Lutherem wróciłam do tego środka ostrożności.

Otwieram drzwi, popycham je butem i zaglądam do przedsionka. Buty stoją w równym szeregu pod ławką, płaszcz wiszą na haczykach. Na podłodze widać naniesione z zewnątrz błoto i piasek.

Na razie wszystko wygląda całkiem normalnie. Drzwi po lewej prowadzą do salonu. Zaglądam tam i widzę tylko sofę, fotele, drewno ułożone przy kominku. Ani śladu włamywacza.

Skręcam w prawo i omijając deskę, która zawsze przeraźliwie skrzypi, wchodzę do kuchni. Filiżanka po kawie i naczynia po śniadaniu w zlewie, skórki po grejpfrucie w koszu na kompost. Na stole skrzą się rozsypane drobiny cukru. Właściwie nic się nie zmieniło od momentu, gdy wyszłam z domu, prócz jednego szczegółu: w powietrzu unosi się zapach nieznanego mi szamponu.

Za moimi plecami rozlega się skrzypienie tej irytującej deski. Odwracam się i staję twarzą w twarz z kobietą.

Jest młoda i gibka, porusza się ze swobodą i wdziękiem sportowców. Niewiele ponad trzydzieści lat, proste czarne włosy z równo obciętą grzywką, ciemne oczy, słowiańskie kości policzkowe. Wydaje się zadziwiająco spokojna, mimo

że lufa walthera, którego noszę przy sobie od porannej rozmowy z Callie, jest skierowana prosto w jej pierś.

– Dzień dobry, Maggie Bird – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że się spotykamy. Dlaczego wybrałaś sobie właśnie takie nazwisko? Ptak?

– A czemu nie?

– Niech zgadnę. Ptak, bo „wolny jak ptak”?

– Każdy ma prawo marzyć.

Przyciąga sobie krzesło. Siada przy kuchennym stole i niedbałym gestem zgarnia na bok kryształki cukru, który rozsypałam przy śniadaniu, jakby w ogóle nie przejmowała się tym, że wystarczy jeden mój ruch, a pożegna się z życiem.

– To naprawdę nie jest potrzebne – mówi, wskazując głową na walthera.

– Ja o tym zdecyduję. Na razie patrzę na kogoś, kto wszedł do mojego domu bez zaproszenia. Nie mam pojęcia, kim jesteś ani po co tu przyszedłeś.

– Mów mi Bianca.

– To prawdziwe imię czy pseudonim?

– Czy to ważne?

– Policja będzie chciała zidentyfikować zwłoki.

– Och, daj spokój. Jestem tu, bo mamy problem. I przydałaby się nam twoja pomoc.

Przyglądam jej się przez chwilę, patrzę na opuszczone swobodnie ramiona i długie, szczupłe nogi. Nawet na mnie nie patrzy, zajęta skórka przy paznokciu.

Siadam naprzeciwko niej i kładę walthera na stole.

Zerka na broń.

– Rozumiem, dlaczego masz przy sobie broń. Uchodzisz za wyjątkowo nieufną osobę.

– Tak?

– Dlatego przysłali właśnie mnie. Pomyśleli, że uznasz kobietę za mniejsze zagrożenie.

– Skoro tak dobrze mnie znasz, to na pewno wiesz, że wypadłam już z gry. Hoduję teraz kury. Bardzo mi się podoba to zajęcie.

Na jej ustach nie pojawia się nawet cień uśmiechu. Nie ma poczucia humoru, skupia się wyłącznie na swoim zadaniu, jest kobietą z misją. Agencja najwyraźniej zaostrzyła zasady rekrutacji od czasów, gdy dla nich pracowałam.

– Nie wiem, dlaczego cię wysłali – mówię – ale zobaczyłaś mnie, więc wiesz, że lata świetności mam już dawno za sobą i że się rozleniwiłam. Nie interesuje mnie ta praca.

– Zapłacą ci.

– Mam wystarczająco dużo pieniędzy.

– To byłaby niezła suma.

– Naprawdę? – Unoszę brwi. – To niepodobne do skąpego Wuja Sama.

– To zadanie miałoby dla ciebie szczególne znaczenie.

– Tak czy inaczej, nie jestem zainteresowana. – Zrywam się z krzesła i choć ten gwałtowny ruch przyprawia mnie o bolesne klucie w kolanie, jestem zbyt dumna, by okazywać przy niej, że cierpię. – Odprowadzę cię. Powiedz im, że jeśli znów kogoś do mnie przyślą, to niech ten ktoś zapuka do drzwi, jak normalny człowiek.

– Diana Ward zniknęła.

Nieruchomieję. Przez moment wpatruję się w nią w milczeniu, ale widzę jedynie profesjonalny chłód i twarz kompletnie pozbawioną wyrazu.

– Żyje? – pytam w końcu.

– Nie wiemy.

– Gdzie ją ostatnio widziano?

– W Bangkoku, tydzień temu. Potem zniknęła, a jej telefon komórkowy jest wyłączony.

– Od lat jest na emeryturze. Odeszła z Agencji wkrótce po mnie. Co was obchodzi, gdzie jest teraz?

– Martwimy się o nią. Właściwie martwimy się o wszystkich, którzy byli zaangażowani w operację Cyrano.

Nie potrafię ukryć zaskoczenia, gdy słyszę tę nazwę. Czuję się tak, jakbym miała wstrząśnienie mózgu.

– Dlaczego ta sprawa wraca właśnie teraz? – pytam.

– Niedawno ktoś włamał się do cyfrowego archiwum Agencji. Oczywiście nieautoryzowane wejście do sieci uruchomiło alarm i zostało szybko zablokowane, ale okazało się, że ten ktoś był zainteresowany tylko plikiem dotyczącym operacji Cyrano.

– To sprawa sprzed szesnastu lat.

– A informacje pozostają utajnione, dla dobra wszystkich zaangażowanych w nią osób. Obawiam się jednak, że nazwiska wyszły na jaw, dlatego staramy się was wszystkich znaleźć i sprawdzić, jak sobie radzicie. Czy nie potrzebujecie pomocy. Muszę przyznać, że nigdy nie spodziewałabym się znaleźć cię w takim miejscu.

Spogląda na sosnowy stół, na żeliwne patelnie zawieszono

na ścianie. Na zewnątrz znów zaczęło padać, za oknem wirują wielkie płatki śniegu. Kiedy taki opadnie, cudownie się spaceruje. Bianca nie wygląda jednak na kobietę, która mogłaby zachwycać się śniegiem.

– Jak widzisz, osiadłam tutaj i mam nowe nazwisko – mówię. – Jestem całkiem bezpieczna.

– Ale Diana może mieć kłopoty.

– Diana i kłopoty? – Parskam śmiechem. – To twar-da dziewczyna, doskonale potrafi o siebie zadbać. Jeśli to wszystko, z czym do mnie przysłaś, chyba czas się poże-gnać.

Podchodzę do drzwi i otwieram je. Mimo strumienia zimnego powietrza, który wpływa do domu, nie zamykam ich; czekam, aż kobieta wyjdzie.

W końcu przechodzi na werandę, a potem odwraca się i wbija we mnie wzrok.

– Pomóż nam ją znaleźć, Maggie. Musisz wiedzieć, do-kąd mogła wyjechać. Pracowałyście razem.

– Szesnaście lat temu.

– Ale prawdopodobnie i tak znasz ją lepiej niż ktokol-wiek inny.

– Tak, pewnie masz rację. I właśnie dlatego gównu mnie obchodzi, co się z nią stanie – mówię i zamykam jej drzwi przed nosem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).